

Tam i z powrotem

Jerzy Eisler



Fot. FilMOTEKA Narodowa

► Mirosław Baka jako waluciarz

Popularna w swoim czasie w środowisku filmowym anegdota głosi, że gdy Wojciech Wójcik w latach sześćdziesiątych studiował reżyserię w słynnej łódzkiej „filmówce”, wielu jego kolegów próbowało wzorować się na dziełach Federica Felliniego czy Ingmara Bergmana i pragnęło tworzyć kino intelektualne i artystyczne. Tymczasem Wójcik konsekwentnie utrzymywał, że chciałby w przyszłości kręcić takie filmy, jakie realizowali amerykańscy klasycy westernu i/lub filmu sensacyjnego: John Ford i Howard Hawks. Już wówczas wiedział, że bardziej niż moralitety i traktaty filozoficzne będzie go interesowało kino akcji. Jeszcze zanim w Polsce zmienił się ustrój, zrealizował pierwsze tego rodzaju filmy: *Karate po polsku* (1982), *Prywatne śledztwo* (1986) i *Trójkąt Bermudzki* (1987). Prawdziwy rozgłos przyniosły mu jednak nakręcone później popularne telewizyjne seriale sensacyjne: *Ekstradycja* i *Sfora* oraz pełnometrażowy film kinowy *Tam i z powrotem*, obsypany wieloma nagrodami, w tym wyróżniony za reżyserię na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni w 2002 roku.

Ten ostatni obraz można by określić mianem filmu sensacyjnego, zrealizowanego w historycznej scenarii. Został on bowiem w sposób dość swobodny oparty na kanwie prawdziwych wydarzeń. Choć akcja została przeniesiona do Łodzi i przesunięta nieco w czasie (rok 1965), to jednak film wyraźnie nawiązuje do bodaj najgłośniejszego w dziejach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej napadu rabunkowego na „Bank pod Orłami” w Warszawie przy ul. Jasnej.

Wypada zatem przypomnieć, że 22 grudnia 1964 roku o 18.35 przed budynkiem, gdzie mieścił się oddział Narodowego Banku Polskiego, dokonano zuchwałego napadu rabunkowego. Jego ofiarą padła kasjerka, która w towarzystwie dwóch konwojentów przenosiła z samochodu do banku bożonarodzeniowy utarg z Centralnego Domu Towarowego (CDT). Kobieta została nagle zaatakowana przez dwóch mężczyzn, którzy otworzyli ogień, na miejscu zabijając jednego z konwojentów – Zdzisława Skoczka. Drugi, ranny, złapał worek z pieniędzmi i usiłował wbiec do banku, ale w drzwiach wejściowych dopadł go jeden z napastników, wyrwał mu pakunek i przystąpił do ucieczki. Obaj przestępcy, ostrzeliwując się, zbiegli z łupem wynoszącym 1,3 mln zł.

Tymczasem kierowca należący do CDT samochodu marki Warszawa przez cały czas klaksonem alarmował przechodniów.

W strzelaninie niczym z filmu gangsterskiego zabito w centrum Warszawy człowieka i do dziś sprawa ta pozostała niewyjaśniona. Zapewne zresztą nigdy nie dowiemy się, kim naprawdę byli sprawcy rabunku. Mimo że wyznaczono wówczas nagrodę w wysokości stu tysięcy złotych za pomoc w ich ujęciu, a w prasie i telewizji opublikowano domniemane portrety pamięciowe, to nigdy nie udało się zatrzymać tych ludzi. W śledztwie ustalono jedynie, że po dokonaniu zabójstwa i rabunku zbiegli oni ulicą Hibnera (dziś Zgoda), minęli ulicę Sienkiewicza, kierując się do wąskiego przejścia między budynkami Filharmonii i kompleksem gmachów PKO w stronę ulicy Moniuszki, skąd prawdopodobnie wyszli na Marszałkowską.

Pojawiły się wtedy co najmniej dwie plotki, zresztą dość charakterystyczne dla ówczesnego stanu myślenia. Nikt o zdrowych zmysłach nie wierzył wszak w to, że dwie osoby – bez specjalistycznego przygotowania – są w stanie dokonać napadu na bank z bronią w rękę i ukraść ponad milion złotych. Była to kwota, za którą można było kupić dobre mieszkanie w Warszawie bądź zbudować i kompletnie urządzić dom pod miastem, a także nabyć zachodni samochód i dodatkowo pojechać z Orbisem na kilka atrakcyjnych wycieczek zagranicznych. Były to więc ogromne pieniądze. Równocześnie było oczywiste, że taki „skok” nie jest możliwy bez dokładnego planu całej akcji.

W myśl jednej wersji było to więc dzieło „facetów z MSW”, czyli kogoś z kręgów Służby Bezpieczeństwa czy Milicji Obywatelskiej, w każdym razie ludzi, którzy umieją posługiwać się bronią palną i – z racji swojego zawodowego przygotowania – są w stanie zaplanować taki napad. Druga, zupełnie przeciwstawna wersja głosiła, że sprawców zuchwałego napadu należałoby szukać raczej wśród ludzi z kręgów Kierownictwa Dywersji, czyli „Kedywu” Armii Krajowej, tym bardziej iż od zakończenia II wojny światowej nie upłynęło jeszcze dwadzieścia lat i młodzi ludzie z lat okupacji byli wówczas mężczyznami w sile wieku.

Nie wiem, czy twórcy filmu *Tam i z powrotem* znali i wierzyli w tę drugą wersję, ale faktem pozostaje, że wątek akowski został włączony w historię zaprezentowaną przez nich na ekranie. Bohaterem filmu uczynili bowiem dr. Andrzej Hoffmana, byłego łącznika AK w Wielkiej Brytanii, a w chwili gdy toczy się akcja filmu – wybitnego lekarza mieszkającego i pracującego w Łodzi. Hoffman (postać świetnie zagrana przez Janusza Gajosa) w okresie stalinowskim spędził w więzieniu kilka lat, mimo że oskarżenie oparte było na bardzo kruchych podstawach. Jak wiadomo, w tamtych latach przez stalinowskie więzienia przewinęły się tysiące polskich patriotów, z których zresztą nie wszyscy doczekali wyjścia na wolność.

Choć po zmianach 1956 roku Polska nie stała się krajem bez więźniów politycznych, to jednak było ich nieporównanie mniej niż w okresie stalinowskim. Wielu akowców nie tylko

wypuszczono z więzień, ale także zrehabilitowano. System uległ daleko idącej liberalizacji, choć jednocześnie nie wyzbył się szeregu negatywnych cech. Nadal ogromną, choć – rzecz jasna – znacznie mniejszą niż wcześniej rolę odgrywał aparat bezpieczeństwa, funkcjonowała cenzura prewencyjna, utrzymany został polityczny monopol Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, obowiązywała „księżycowa” gospodarka nakazowo-rozdzielcza, a PRL była zależna od Związku Radzieckiego.

Zmiany były jednak na tyle widoczne i ważne, że wielu ludzi uwierzyło w ich trwałość. Stosunkowo szeroko rozpowszechnione było przekonanie, że popaździernikowa Polska jest „najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym”, oraz opinia o tym, że rządzący zawarli z rządzonymi niepisaną umowę w myśl hasła: „my wam dajemy żyć, wy nam nie przeszkadzajcie w rządzeniu”. Nie wolno jednak zapominać, że wciąż było to państwo zamknięte, z którego nader trudno – choć niewątpliwie znacznie łatwiej niż przed rokiem 1956 – było wyjechać za granicę. Tego typu wyjazdy (zwłaszcza na Zachód) ciągle należały do rzadkości. Były one niezwykle utrudnione z trzech co najmniej powodów.

Po pierwsze, inaczej niż obecnie, nie mieliśmy paszportów w domu, ale były one przechowywane w Biurze Paszportowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i każdorazowo przed wyjazdem za granicę trzeba było wypełniać wielostronicowy, bardzo szczegółowy formularz, w którym należało dokładnie podać cel, czas i charakter podróży oraz to, z kim zamierzamy się spotkać. Władze miały sześć tygodni na udzielenie odpowiedzi, przy czym wcale nie musiały zgodzić się na nasz wyjazd. Oprócz niebudzących większych wątpliwości motywów odmowy („nieuregulowany stosunek do służby wojskowej” czy toczące się wobec petenta postępowanie sądowe) władze zawsze mogły odmówić wydania paszportu, motywując to nic niemówiącym i niezwykle „roziągliwym” stwierdzeniem: „inne ważne względy natury państwowej”. Można się było od tego odwoływać, lecz raczej rzadko przynosiło to skutek. Jeżeli zaś ktoś otrzymał paszport i wyjechał za granicę, to w ciągu tygodnia po powrocie do kraju trzeba było oddać „dokument podróży” odpowiednim władzom.

Po drugie, znów inaczej niż obecnie, na wjazd do prawie wszystkich państw potrzebowaliśmy wizy, którą nielato było uzyskać, tym bardziej że nie wszystkie kraje europejskie miały swoje przedstawicielstwa dyplomatyczne w Warszawie.

Kłopoty z uzyskaniem wizy wiązały się też z trzecią przyczyną utrudnień w wyjazdach zagranicznych: niewymienialnością polskiej waluty. Dziś, gdy złotówki można wymieniać na dewizy zarówno w Polsce, jak i w wielu krajach świata, łatwo zapominamy o tym, że aż do 1989 roku były to pieniądze, które traciły jakąkolwiek wartość po przekroczeniu polskiej granicy państwowej. Zresztą nie wolno ich było wywozić z Polski – było to przestępstwem. Poza tym po czarnorynkowym (to znaczy realnym) kursie dolara do złotówki Polacy zarabiali miesięcznie przeciętnie 20–25 dolarów, co w najlepszym razie – zresztą czysto teoretycznie – pozwalało ➤



▶ Piotr Klimek i dr Hoffman (Jan Frycz i Janusz Gajos) – przyjaciele z konspiracji, współnicy w napadzie

Fot. Filmołeka Naradziowa

wówczas na przeżycie w Europie Zachodniej lub Ameryce najwyżej trzech dni. Trzeba przy tym stale pamiętać, że w PRL nie wolno było kupować dewiz na „czarnym rynku”. Także więc ze względu na brak legalnej możliwości pozyskania dewiz wyjazd z Polski rządzonej przez komunistów był bardzo trudny i – niezależnie od innych ograniczeń – przypominał kwadraturę koła.

Przywołuję to wszystko dlatego, że bohater filmu stale pisze podania o paszport, a następnie odwołania od decyzji odmownych. Dla kolejnych pokoleń widzów coraz mniej zrozumiałe będzie to, dlaczego dr Hoffman nie może połączyć się z przebywającą od wojny w Anglii żoną i córką. Ten człowiek przeżywa wielki osobisty dramat. Chociaż po wyjściu z więzienia przebywa na wolności, nie może z niej w pełni korzystać i na przykład wyjechać z Polski, żeby spotkać się z rodziną.

Gdy pewnego dnia pojawia się Piotr Klimek, kolega z wojennej konspiracji (w tej roli Jan Frycz), który jest zdeterminowany i za wszelką cenę chce wyjechać na Zachód, aby tam zacząć nowe życie, dr Hoffman postanawia przystać na jego propozycję. Okazuje się bowiem, że jedynym sposobem na wyrwanie się z Polski jest zdobycie drogą nielegalną (napad na bank) wielkich pieniędzy, które otworzyłyby drogę do wyjazdu za granicę. Hoffman, człowiek uczciwy, nie bez oporów decyduje się na takie rozwiązanie. Podjęcie moralnie wątpliwej decyzji ułatwia mu fakt, że SB chce go zwerbować, szantażując fałszywymi zeznaniami świadków, które mogą doprowadzić do zamknięcia jego praktyki lekarskiej.

Obserwujemy przygotowania do rabunku pieniędzy i sam napad, w którego trakcie dochodzi jednak do użycia broni

palnej i zranienia jednego z konwojentów. Los sprawił, że rannego konwojenta miał operować dr Hoffman, który w ten sposób stanął przed dramatycznym wyborem: w zgodzie z moralnymi i zawodowymi zasadami ratować za wszelką cenę życie człowieka i w ten sposób siebie samego narazić na dekonspirację – czy też pozwolić konwojentowi umrzeć i w ten sposób samemu uniknąć więzienia. Wydaje się, że w tym momencie Wojciech Wójcik przynajmniej częściowo zdecydował się „wyjść z roli” wyłącznie specjalisty od filmów akcji i wystąpił także w roli moralisty, co dodatkowo podniosło walory tego niewątpliwie udanego i bardzo interesującego filmu. Nie zdradzając jego zakończenia, wypada dodać jeszcze, że puenta filmu jest dość zaskakująca, ale zarazem nader klarowna i w sumie pozytywna. Przekonuje po raz kolejny, że naprawdę warto być przyzwoitym.

Poza wątkiem sensacyjnym i aspektem historyczno-politycznym film *Tam i z powrotem* – ze względu na nieczęsto spotykany pietyzm scenografów i kostiumologów względem realiów epoki – dla młodych widzów jest niczym wycieczka do muzeum techniki (na przykład można na ekranie zobaczyć Szarotkę – w swoim czasie niezwykle popularne pierwsze polskie przenośne radio na baterie), dla starszych zaś jest powrotem do zapomnianego świata dzieciństwa lub młodości. Dzięki tej trosce o detale „siermiężny socjalizm” z czasów Gomułki jawi się na ekranie na swój sposób malowniczo, a w każdym razie dość egzotycznie. ■

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008)